



Paweł Huelle (ur. w 1957 r.) – prozaik, poeta, scenarzysta, dramaturg, redaktor naczelny kwartalnika literackiego „Bliza”. Wiceprezes polskiego PEN Clubu. Autor książek: „Weiser Dawidek” (1987, 1992), „Opowiadania na czas przeprowadzki” (1991), „Wiersze” (1994), „Pierwsza miłość i inne opowiadania” (1996), „Inne historie” (1999), „Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala” (2001), „Castorp” (2004), „Ostatnia wieczera” (2007), „Opowieści chłodnego morza” (2008), Laureat Nagrody PEN Clubu (1995), Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1988), Nagrody Fundacji A. Jurzykowskiego (1996) oraz Paszportu „Polityki” (2001). Nominowany do Nagrody Literackiej NIKE (1997). Tłumaczony na kilkanaście języków. Mieszka w Gdańsku.

Paweł Huelle Kraj bez winnic



Cantos

Nie wiesz co przyniesie noc
jakie przebudzenie
może będziesz palaczem zwłok
przy piecach
albo kapłanem bogini
nad lśniąca rzeką
w której księżyc odbija
swoje pełne usta

musi być jednak rzeka
aby chłopcy poili konie
aby dziewczęta zaplatwały wianki
aby kobiety z kijankami
aby mężczyźni staczali bitwy
w lustrze wieczności
znieuchomiłym
martwym

myślisz o tym bez lęku
wsparty o cementowy próg
autostrady gdzie porzuciłeś auto
nad nurtem brudnej wody
którą nieubłaganie suną
kołtuny traw puszeki
worki nienarodzonych
sny samobójców
prochy cywilizacji

skaczesz z pieśnią milczenia
rozdzierającą gardło

In memoriam Josif Brodski przy ujściu Wisły w przeddzień wiosny

Złe, nieczułe morze zawsze tu chłodne jak śmierć.
Nawet latem niewiele cieplejsze. Huczy. Cofa się
I znowu powraca na poprzednie miejsce.
Toczy szmaty, szkło, plastik i gumę, słowem
Śmieci cywilizacji, która chciała być czystym rozumem.
Ale z Kanta zostały jej tylko liczne kanty
W postaci reklam, telewizji, oraz sukcesu propagandy,
Do której nie trzeba nagana, ani komisarza,
A tylko skutecznego promocji kalendarza.

O tej porze roku brudna i ciemna jest rzeka
I dusze, które nią płyną, nie wiedzieć dokąd i po co.
Rozmywają się w jeszcze większym bezniarze.
A ty stoisz i patrzysz, i nie wiesz, na co czekasz,
Jakby Bóg rzeki istniał jeszcze naprawdę
I miał na cztery strony świata zwrócone cztery twarze.

– Słońce co dzień jest nowe – szepce ślepiec nad brzegiem,
Ale czy to poeta, filozof, czy głupek boży – nie wiesz,
Patrząc na szarą wiosnę, gdzie już nie ma rybaków
I skąd przybył ten starzec, topiąc swój kostur w piachu.

Jak on jesteś bezradny. Straciłeś wszelkie kierunki.
Nie bawią cię świata rozkosze. Nie martwią jego frasunki.
I bezcielesne światło nagle na wskroś cię przesywa.
Czujesz wieczność tej rzeki. Godzinę Heraklita.

Na jesień (II)

Trawy skoszone. Ogrody czekają
Na srony pierwsze. Szrony
Jednak dają nam do zrozumienia,
Ze chociaż krótka – chwila ocalenia
Jest jeszcze przed nami i wypełnia
Ciszę. Jeszcze mysz biegnie trawnikiem.
Jeszcze kreta słyszę, jak przez korytarze
Ciemnego labiryntu niesie swe lichtarze
Instynktu ślepea, bo przecież on nie wie,
Ze nad nim świecą gwiazdy, lub słońce po niebie
Toczy się na zachód, ciesząc nasze oczy.
Ogrody czekają. Nim sron nas zaskoczy.

Napis na ołtarz w Oliwie

Jezus tańczy jak chasyd
Chociaż go zabili
A potem zmartwychwstał

Jezus z dziurami w stopach
Tańczy jak rabbuni z Drohobyca
Albo z Monasterzysk

Wirujący lotnik
Przyszłości

Szczep winny z gałęzi Jessego
Jozua ben Jozef
Tancerz
Nieśmiertelności

Navigare

Ten statek, który śmiercią się nazywa,
Wpłynął pod ciężkie z ołowiu obłoki,
Mijając bramy, spichlerze i portowe doki
W porze, gdy dnia coraz więcej ubywa.

Jedynym jego byłem pasażerem
W tak absolutnej i bezwzględnej ciszy,
Ze w ziarnach zboża chrobotanie myszy
Słyszałem z ładowni, obracając sterem.

Na łąki bujne brzegów Avalonu
Pod słodką jabłoń, która owoc toczy,
Nie dopłynąłem. Najpierw moje oczy,
A potem ciało utonęło w mroku.

List ślę do Ciebie już po przebudzeniu:
„Dotknąłem pustki prawie doskonałej,
I jeśli pytasz – czemu ocalałem?
Odpowiem: dzięki Twojemu spojrzeniu”.

Ψυχή (Motyl)

Kobieta schodzi w dół, do morza
Przez cichy zmierzch ogrodów.
W jej dłoniach srebrna kula czasu
Lśni, obraca się, wiruje,
Bo jest w niej przeszłość –
To znaczy chwila, która
Właśnie mija w jej spojrzeniu
(Teraźniejszości nieuchwytny fantom
Spisany literami alfabetu).
Ale i cała przyszłość jej oczu, włosów,
Duszy i paznokci, nadmorskich skał,
Miasteczka i okolicznych wsi.
Ławie tuńczyków, winnic, ludów,
Także wiruje w srebrnej kuli.

Kobieta stawia wreszcie stopę
na rozgrzanej skale
I chłodna, choć niezbyt zimna woda
Obmywa palce, kostki, gładką skórę łydek
W ostatnim już promieniu słońca,
Gdy obejmuje ją noc niczym najczulszy kochanek.

Teraz srebrna kula chwyta światło księżycy
I jak na grzbietach fal widać w niej bogów,
Którzy odeszli lub właśnie odchodzą,
Odwroćni plecami do świata, w jakim
Żyje ona. Za chwilę dalej w dół
Będzie schodzić labiryntem czasu
W zaulki istnienia, na łąki snu,
Gdzie nie ma końca i początku
I w jednym płatku róży jest wieczyste teraz.

Zobacz, jak srebrna kula staje się motylem
I przemieniona w duszę wraca znów do domu
Nad ranem, kiedy jaśniejsza od świtu błyszczą
Gwiazda Wenus.

Stawisko

To kraj bez winnic.

Lampa porażona wiatrem
Z hukiem upada na blat
I kłosz thuce się. Knot gaśnie.
Na szczęście cztery krople nafty
To zaden pożar. Gruba służąca Kachna
Łomoce sabotami. Biegnie ku drzwiom.
Wrzeszczy: „Tyle razy mówiłam zamykać okna paniczom,
Ale one jak czytają, o niczym już nie słyszom”.

To kraj bez winnic.

Wyżyły stulone razem
Płaczą swoje sny przy kominie.
Szadź po ogrodach. W parku
Na głowie Ceres ostatni liść klonu udaje,
Ze jest rzymskim wawrzynem.

To kraj bez winnic.

Kłosz nowy i lampa znowu cała,
I zapach nafty wraz z wygaworem Kachny
Otwiera rozdział drugi: przemowę Telemacha,
Lży Penelopy, wrzask zalotników straszny.

Morze tu bije o skały już od początku świata.
Morze ciemne jak wino. Wreszcie księga wypada
Z rąk i we śnie nadpływa Itaka.
A ty, z nieopisanym zachwytem, zbiegasz
Na skalny cypel i widzisz dokoła winnice, tylko winnice.

Stawisko, 2010

Śnieg

Czekałem go i przyszedł.
Niepostrzeżony. Bardzo cicho.
Lekko i delikatnie.
Obejmowałem wszystkie jego cząstki
Tak, żeby widział, że go Kocham:
Ustami. Dłońmi. Całym sobą
W tysiącach bezszelstnych płatków.
I to był pierwszy śnieg.
Spłynął jak Mesjasz, który
Niepostrzeżenie przeszedł ulicami miasta.
Królowie byli nieobecni.

Twój mirt

Twój mirt widzę w zwierciadle, które jest wiecznością.
Tam wszystkie Twoje młode, dojrzałe, piękne wizerunki,
Tam wszystkie suknie i perły i włosów trefunki
Jedne po drugich odmieniam z czułością.

Skiniesz dłonią i wiosna pachnie już nad morzem,
Słowo powiesz i grają świerszcze na przedprożu lata.
Brew zmarszczysz i jesień kładzie posrebrzane światła
Na zimę, która twarze nam wyostrza chłodem.

Wielkanoc

Złe duchy podawały mi ogień w czarnym szkle.
Żadnych ozdób.
Było gładkie i szlifowane
Przez wszystkie lata od początku świata.
Twarde. Lekkie i wytrzymałe.
Czarne szkło doskonałe.

Najpierw krtań, potem wnętrzości
Zamieniały się w lawę.
I płonąłem Dzień Pierwszy
I Drugi i Trzeci
Na popiół
W kosmicznej zamieci.
Ale nie zmartwychwstałem.